

Stefan Żółkiewski, Maria Renata Mayenowa, Aleksandra Okopień-Sławińska

W 10 rocznicę śmierci Kazimierza Budzyka

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (14), 133-141

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Roztrząsania i rozbiory

W 10 rocznicę śmierci Kazimierza Budzyka

Poznałem Kazimierza Budzyka w 1929 r. Byliśmy prawie rówieśnikami. W tym roku, tuż po maturze, wstąpiliśmy na warszawską polonistykę. Zbliżyliśmy się jednak, a potem głęboko zaprzyjaźniliśmy, w jakiś rok później dzięki wspólnej działalności w uniwersyteckim naukowym Kole Polonistów. Odtąd trzymaliśmy się razem: Budzyk, Dawid Hopensztand, Franciszek Siedlecki i ja. Długo do tego grona należał Stanisław Westfal, póki drogi językoznawcy i zajmujących się literaturą nie rozeszły się w sposób naturalny. Również długo bliski był nam Ludwik Fryde, póki nie rozdzielił nas — jego irracjonalizm, dążenie do osobistej ekspresji wartościującej i personalizm, który zaprowadził go w ostatnich miesiącach życia do katolicyzmu i wiary, i z drugiej strony, nasz racjonalizm, dążenie do wierności rygorom empiryzmu i koherencji teoretycznej oraz radykalizm społeczny, które prowadziły do marksizmu. Z młodszych nieco przyjaciółmi Budzyka i jego grona najbliższych byli zabity na wojnie teatrolog Józef Kuroczycki, Stefania Knispel i Jan Baculewski.

Budzyk pochodził z biednej, chłopskiej, góralskiej rodziny. Ojciec jego bodaj był niższym funkcjonariuszem w Nowym Targu i to pozwoliło młodemu Kazimierzowi ukończyć gimnazjum. Przybył wtedy do Warszawy i żył w surowej biedzie. Nie korzystał z takich świadczeń, jak miejsce w domu akademickim. Utrzymywał się sam. Żył talerzem zupy i suchą bułką. Nie całkiem podobny był psychicznie do nas pozostałych, wywodzących się z rodzin inteligentnych czy drobnomieszczańskich. Uderzał nas jego surowy, odpowiedzialny, świadomy stosunek do życia. Budzyk miał w sobie chłopski upór i powagę. Wiedział, że zginąć musi każdy, który nie zdoła sam zapanować nad życiem.

Ta świadomość i towarzyszące jej uprzednio doświadczenia rzucały surowy cień na jego młodość, głębszy aniżeli na młodość kóregokolwiek z nas, nawet cierpiącego przez lata dotkliwy niedostatek Dawida Hopensztanda, który był uosobieniem pogody i poczucia humoru.

Budzyk był równie zdolny i inteligentny, twórczy, jak i nieustępliwie pracowity. To, co mu zostało z obyczajowości chłopskiej, włącznie z nikłym, ledwie dostrzegalnym śladem nalotu nowotarskiej gwary w mowie, odpychało go od nawyków inteligenckiej młodzieży, trawiącej czas na ogólnych dyskusjach światopoglądowych, a przede wszystkim — na tym, co nazywamy życiem towarzyskim, przyjemnością przyjacielskich spotkań, pogwarek, po prostu wzajemnego oglądania siebie. Nie znaczy to, że Budzyk był odludkiem. Przeciwnie, angażował się chętnie w życie studenckiej społeczności, ale rzadziej niż inni chodził na długie, bezcelowe spacery, rzadziej niż pozostali z naszej grupy zachodził do, dziś już nie istniejącej, maleńkiej, ciemnej cukierenki naprzeciw kościoła św. Krzyża na wspólne rozmowy.

Na pewno ważyły tu trudniejsze niż innych warunki życiowe. Zapewne dlatego też żywo uczestnicząc w życiu naukowym Koła Polonistów sam nie obejmował żadnych funkcji organizacyjnych. Nie był też do końca życia członkiem żadnej organizacji politycznej. Fakt jednak, że wybrał sobie jako najbliższych przedstawicieli lewicy, wśród których Hopensztand był członkiem KPP, a Siedlecki pisywał w zbliżonym do Partii „Lewarze” — mówi za siebie. Budzyka cechował radykalny ludowcowy demokratyzm, czuł się po stronie mas chłopskich oraz ich walki, szczególnie w latach trzydziestych, latach strajków chłopskich. Pogardzał rasizmem i nacjonalizmem. W całej jego postawie życiowej manifestowała się głęboko internalizowana kultura tych, którzy stworzyli europejski postęp społeczny i cywilizacyjny, kultura ludzi równych, wolnych i rozumnych.

Zainteresowania i orientacje naukowe Budzyka skryształizowały się wcześniej. Pewnie dlatego przede wszystkim nasze grono zbliżyło się, że szukając po omacku, ale jak na stosunki polskie jeszcze bardziej świadomie niż większość nawet młodych humanistów, dążyliśmy do charakterystycznej dla drugiej połowy XX wieku przemiany metodologicznej całej humanistyki. Dziś patrząc wstecz, z perspektywy możemy ją określić jako owocujący teraz ciąg prób uogólniania dla całej humanistyki dyrektyw metodologicznych badań systemowych, dyrektyw językoznawstwa „posausure’owskiego”, najpełniej i nowatorsko manifestowanych w latach trzydziestych przez szkołę praską z Trubeckim i Jakobsonem na czele. Próby uniwersalizacji metod językoznawczych na terenie etnologii, teorii kultury, badań mitów, różnych zakresów ideologii, plastyki, filmu, komunikacji społecznej, środków komunikacji masowej przyszły dopiero w latach pięćdziesiątych i później. Wcześniej jednak

badania systemowe zyskiwały miejsce w poszukiwaniach psychologii, antropologii i socjologii. Pionierzy zaś nowych metod działający na gruncie folklorystyki radzieckiej stosowali dyrektywy językoznawcze badań systemowych już w końcu lat dwudziestych (Bogatyriew, Propp). Tym wcześniej zaczął się ten przełom w nauce o literaturze, która zawsze pełnymi garściami korzystała z wyników językoznawstwa, jako że bada zjawiska ukształtowane przy pomocy znaków słownych, językowych.

Głównym inspiratorem w naszym gronie był Siedlecki, w ogóle zafascynowany kulturą rosyjską, zwłaszcza rewolucyjnym etapem jej rozwoju. Od zainteresowań młodym Jakobsonem, Eichenbaumem, Zirmunskim, Vinogradovem, Tynianowem, Bachtinem (z książki wydanej pod pseudonimem Wołoszynowa), tylko krok był do Szkoły praskiej, jej też dotyczących badań systemowych języka, badań struktur językowych i badań bardziej złożonych tekstów — jak dziś się mówi — realizacji wtórnych systemów modelujących. Ten typ tekstów badał wówczas — kładąc podwaliny pod nowoczesną poetykę — Jakobson i Mukarovsky. Siedlecki w tym zakresie zajął się poetyką, ściślej, teorią wiersza, Budzyk — można by rzec — retoryką, problemami prozy narracyjnej, zagadnieniami monologu i dialogu, mówiąc ogólniej: stylistyką.

Było znamienne, że pierwsze prace Budzyka drukowali nie literaturoznawcy polscy, ale „Język Polski” — organ lingwistów oraz czeskie czasopismo „Slovo à slovestnost’”.

Budzyk był jednym z pierwszych i najwybitniejszych, najbardziej wiernych rygorom naukowości pionierem nowatorstwa w polskiej nauce o literaturze.

Budzyk i w nauce nie adaptował się, ale wykuwał własną drogę. Nigdy nie liczył na łatwe korzyści konformizmu.

Pierwszą stałą pracę dostał w Dziale Starodruków Biblioteki Uniwersyteckiej. Tam znalazł się pod kierownictwem naukowym wielkiego znawcy problemów starej książki — Kazimierza Piekarskiego. Wciągnął się w ten typ prac. Odtąd drugi — obok stylistyki i historii staropolskiej literatury — tor główny jego badań.

Po wojnie okazało się, że ten oryginalny, głęboko świadomy swoich założeń metodologicznych i celów poznawczych badacz jest jednocześnie znakomitym, wyjątkowym nauczycielem. Nauczycielem o indywidualności twórczej i ludzkiej promieniującej na uczniów, pełnej osobistego ciepła, osobowości, jak mówi Kotarbiński, spolegliwej prawdziwego wychowawcy, człowieka, dla którego los intelektualny i życiowy uczniów był jego własną sprawą.

Stefan Zólkiewski

Dziesięć lat upływa od śmierci Kazimierza Budzyka, człowieka dotąd stale obecnego w moim życiu, człowieka, z którym dialog, spory i zgody trwają dotąd. Dlaczego tak trudno mówić o Nim na głos, o wiele trudniej niż pod wpływem bezpośredniego przeżycia śmierci. Tak jak gdyby trwający z nim dialog stawał się znacznie intymniejszym składnikiem własnego życia. Nie byłoby sposobu wymazać go z 25 lat własnego życia. To On właśnie przed 25 laty zaproponował mi wejście do Instytutu, właśnie wówczas organizowanego, on pomógł w naukowym wykrystalizowaniu się wielkich przedsięwzięć naukowych (*Słownik polszczyzny XVI w.*, Biblioteka Pisarzy Polskich), On zmusił do pewnej organizacyjnej samodzielności. Wiadomo, że wielki talent wydobywania z innych maksimum intelektualnej sprawności, nieocenioną umiejętność krytyki, która nie obraża i nie odbiera ochoty do przemyślenia i poprawienia własnej pracy, dzielił wśród moich rówieśników tylko ze Stefanem Żółkiewskim. Z natury był ludziom życzliwy i gotów do pomocy. Nie o tym przecież chcę mówić i nie o to może się toczyć spór.

Zarówno wówczas, jak i teraz niejednokrotnie zadawałam sobie pytanie, jak mogła powstać bliskość między ludźmi o tak dalece różnym zapleczu społecznym, jak Budzyk i ja. Nie mam wątpliwości, że wspólny język między ludźmi na ogół się wytwarza tam, gdzie zaplecze przejmowanych z tradycji i bez refleksji wspólnych skal wartości, doświadczeń i nie kontrolowanej wiedzy o świecie jest wspólne. W sensie socjologicznym nie można by chyba pomyśleć dwóch dalszych od siebie punktów wyjścia niż nasze. Jak się to stało, że te różnice nie zaważyły? Wśród dziś już niestety nieobecnych moich wybitnych rówieśników byli inni, na których patrzyłam ze szczerym podziwem i przyjaźnią, pozornie bliżsi mi środowiskiem stanowili jednak zawsze przedmiot nieco egzotycznego oglądu. Ilekroć mówiłam z nimi, uważałam na etykietalną stronę wypowiedzi, czując, że wobec nich obowiązuje określony *savoir vivre*, poza który nie można wyjść. Z Budzykiem mogłam mówić o wszystkim spontanicznie, nie starając się o przyjęcie właściwego dla partnera stylu. Dlaczego? Z indywidualną wrażliwością, nieoczekiwaną u tego raczej milczącego człowieka, łączyła się może ta świadomość różnych społecznych konwencji, którą się zdobywa za cenę wyjścia ze swojego środowiska. Tę ważną świadomość wielu form społecznego obyczaju i wielu społecznych języków, którą można zdobyć różnymi sposobami, Kazimierz Budzyk zdobył, płacąc za nią drogą własnym doświadczeniem. Ta świadomość w czysto językowym sensie pokazała swoje wątpliwe bogactwo w jego pracach i zainteresowaniach czysto naukowych. Kazimierz Budzyk rozumiał doskonale granice ekspresji stwarzane przez przyjęty język. Opowiadał mi kiedyś, jak nie mając żadnej możliwości utrzymania się w Warszawie, wrócił do swego rodzinnego Nowego Targu, by w czasie ostatnich wakacyj napisać pracę magisterską. Nie mógł tego

zrobić. Przeszedł w domu natychmiast na gwarę i pisanie literacką polszczyzną, myślenie w jej kategoriach stało się na tych kilka miesięcy niemożliwe. Myślę, że ten typ własnego doświadczenia nie mniej niż czysto osobista wrażliwość sprawiły, iż miał on tak naturalną zdolność rozumienia różnych społecznych kontekstów, że miał szerokość pozwalającą mu na naturalny kontakt z jakże różnymi ludźmi i wrażliwość pozwalającą na rozumienie różnych form wypowiedzi. Gdy przekonywał o roli wyboru języka, dialektu dla ekspresji określonego stanowiska, określonej społecznej świadomości miało się wrażenie, że introspekcja gra w sile jego przekonania nie najmniejszą rolę.

Wiele razy bywaliśmy razem w Jego okolicach rodzinnych. Wiele spacerów odbyliśmy po niezbyt trudnych (ze względu na mnie) ścieżkach biegnących pod i nad regłami. Wiele godzin przekrzyżciliśmy, spierając się o ludzi i sprawy. Budzyk należał do ludzi niezmiernie zasadniczych i niezmiernie serio, do ludzi zdolnych do płynięcia całkowicie samotnie i pod prąd. Traktował bardzo serio odpowiedzialność społeczną swego zawodu. Był z natury najbardziej niezależnym, obcym konformizmowi człowiekiem. Rozumiał mechanizmy społeczne lepiej od wielu z nas, przepowiadał ich działanie wówczas, kiedy ja byłam bardzo daleka od ich rozumienia. Nie był zdolny do konformizmu. Nie zapomnę fragmentu rozmowy, kiedy radziłam mu, by ułatwił sobie sytuację w Radzie Wydziału za cenę pewnych ludzkich ustępstw, w które sama byłam zamieszana. Usłyszałam odpowiedź: To jest dla mnie niemożliwe. To, co dla Ciebie jest zwykłym ustępstwem, dla mnie jest już dawno nie wchodzącym w rachubę oportunizmem. A przecież żył ograniczony warunkami i w tych warunkach walczył zarówno o to, co uważał za właściwe dla swojej dyscypliny, jak i o swoje miejsce na świecie. W tej walce splatały się z sobą dwie jego możliwości: rozumienie mechanizmu społecznego i zdolność do pewnej bezwzględności w realizacji powziętych celów przy jednoczesnym zbyt dedukcyjnym sposobie myślenia. Takim sposobie myślenia, który zakładał, że ludzkie działania są rezultatem logicznych, wyliczanych z góry przesłanek. Ten splot właściwości dawał ten szczególnie tragiczny rezultat: człowiek wielkiej dobroci, zupełnie pozbawiony małostkowości w jakimkolwiek sensie, opłatywał się w niezrozumienie i wrogość. Człowiek wielkich zdolności, przerastający znacznie wielu swoich kolegów, tracił siły na walkę o miejsce w znacznie niższym od siebie środowisku. Człowiek autentycznej wrażliwości stawał się jednostronny w swoich interpretacjach. Trudno spokojnie myśleć o Kazimierzu Budzyku i prowadzić z Nim dialog, w którym tyle razy przyznaje się Mu rację.

Maria Renata Mayenowa

* * *

Gdyby żył Profesor Budzyk, nie przekroczyłby jeszcze progu starości. Dziesięć lat temu zmarł na białaczkę, mając 53 lata. Wspominam Go jako mojego nauczyciela i naszego nauczyciela, nie czyniąc różnicy między liczbą pojedynczą a liczbą mnogą odnoszącą się do niewielkiej grupy jego uczniów. To zrównanie perspektywy osobistej i grupowej — mimo upływu czasu, mimo że na Uniwersytecie Warszawskim nie ma już Budzykowskiej Katedry Teorii Literatury, mimo że uczniowie Budzyka sami mają uczniów — to przetrwałe poczucie wspólnoty zawiązanej w chwili naukowego startu wydają mi się jednym z najwymowniejszych świadectw nauczycielskiego wpływu Budzyka.

Profesor stosunkowo późno postanowił mieć uczniów. Było to około 1954 r., kiedy miał 43 lata. Rozmyślnie piszę „postanowił”. To bowiem, co robił, było z reguły rezultatem jego świadomych zamierzeń. Nie zdawał się na żywioł, nie czekał, co przyniesie życie — przewidywał, planował, decydował, organizował. Z upartą konsekwencją, futurologiczną wyobraźnią i na dużą skalę, nie bardzo licząc się ze zinstytucjonalizowanymi formami, z ciężeniem tradycji i nawyku, a także z niechęcią i zawiścią ludzi, dla których zmiany i postęp stwarzały zagrożenie. Pozbawiony (czy nie ujawniający) hamletycznych rozterek był z tych, którzy po wojnie budowali-wszystko-od-nowa. Zanim w 1955 r. założył Katedrę Teorii Literatury, działał jako inicjator, pomysłodawca, organizator i twórca wielu imprez i instytucji życia polonistycznego, a przede wszystkim jako współzałożyciel Instytutu Badań Literackich.

Był w nim optymistyczny rozmach pokolenia budowniczych powojennego życia naukowego i chłopska, góralska zawziętość, ale kto wie, czy jego niewzruszony upór i zdumiewający spokój, z jakimi stawiał czoła przeciwnościom, nie znajdował również wsparcia w nekającym go upośledzeniu słuchu. Budzyk źle słyszał, ale może dzięki temu mógł łatwiej zachować psychiczną odporność, odizolować się, „pozostawać głuchym” na mnóstwo dokuczliwości i utrapień przypadających mu w udziale jako temu, który chciał coś zrobić. Opowiadano, jak na Radach Wydziału jego spokojna nieuwaga sprawiała, że marniały nie podjęte rozmaite kłujące aluzje pod jego adresem.

Kiedy postanowił mieć uczniów i stworzyć Katedrę Teorii Literatury, nie mógł odwołać się do żadnej uniwersyteckiej tradycji instytucjonalnej w zakresie tej dyscypliny, ani też oprzeć się na jakiejś choćby tylko podszkolonej kadrze pracowników. Do współpracy wciągnął Profesor Marię Renatę Mayenową, a resztę zespołu postanowił sam zgromadzić i wykształcić, rozpoczynając od nie mających pojęcia o teorii literatury, poetyce i wersyfikacji uczestników swego seminarium magisterskiego oraz angażując innych przypadkowo mu przedstawionych absolwentów polonistyki. Postawił więc na ludzi młodych, prawie mu nieznanymi, prosto po studiach, licząc na ich nie ujawnione jeszcze możliwości intelektualne, zdolności

dydaktyczne i pisarskie, wzajemną lojalność i współdziałanie. Założył z góry, że wychowuje przyszłych pracowników naukowo-dydaktycznych, którzy będą rośli razem z utworzoną przez niego placówką.

Jego talent i intuicja pedagogiczna ujawniły się w takiej sytuacji w sposób zniewalający i nieoczekiwany (kiedy jako studentka bywałam na seminarium Budzyka z XVII-wiecznej literatury mieszczkańskiej, raził mnie jego monotony wywód i brak żywszego kontaktu ze słuchaczami). Stawiał nam maksymalne zadania, od razu czynił współodpowiedzialnymi za wszystko, co stanie się z Katedrą, planami naukowymi i kształceniem studentów. Plany, które przed nami rozwijał, przerastały nie tylko nasze możliwości, ale i wyobrażenia. Niejednokrotnie przed kolejnym z nim spotkaniem bawiliśmy się w zgadywanie, „co też nowego Budzyk dzisiaj wymyśli”. Jeśli śmiałość i wyobraźnię wiązać z młodością, to on był młodzikiem my zaś powątpiewającymi zgrzybialcami. Znamienne jednak, że Budzyk znany z niewzruszonego obstawania przy swoich racjach, wobec nas okazywał pewną miękkość, pogodnie przyjmował zastrzeżenia, dawał się przekonać, a w trakcie pracy nie nękał, nie bardzo popędzał i aprobował w gruncie rzeczy to, co w końcu zrobiliśmy. Pamiętam, bo wywarło to na mnie duże wrażenie, jak w pierwszych dniach mojej asystentury, kiedy jeszcze wszystko było dla mnie bardzo skomplikowane, Profesor od razu polecił, bym fachowo opanowała maszynopisanie (na jakimś renomowanym kursie) oraz rozpoczęła studia muzykologiczne. Ostatecznie, o muzykologii nie było mowy, a Budzyk przez lata podpisywał niezdarnie wypalcowane pisemka i memoriały, przestrzegając tylko surowo zachowywania przynajmniej znormalizowanego formatu papieru. W starych segregatorach Katedry powinny tkwić jeszcze te pisma dokumentujące wiele nie dokonanych jego pomysłów i poczynań. Pasja nowości i działania nie opuściła go do końca, już ciężko chory tłumaczył nam, że trzeba będzie założyć filię Katedry w Kołobrzegu (zdaje się w powiązaniu z tamtejszym Studium Nauczycielskim?).

Nie zrobiliśmy nawet części tego, o czym myślał, ale i tak trochę jego inicjatyw przyjęło się, przetrwało i dalej się toczy. Jemu bowiem zawdzięczają swój początek i coroczne konferencje teoretycznoliterackie, i seria „Z Dziejów Form Artystycznych”, i utereetyczniony program studiów polonistycznych, i podręcznik teorii literatury wraz z innymi pomocniczymi dla dydaktyki opracowaniami; nawet będący obecnie w druku *Słownik terminów literackich* był kiedyś jego pomysłem.

W życiu Katedry umiał stworzyć atmosferę wspólnej pracy i zespołowych ambicji. Nie skąpił swego czasu na częste i stałe zebrania naukowe oraz spotkania indywidualne. Uważnie czytał przedtem nasze referaty, wypełniając marginesy drobnymi, czystym piśmem. Nauczył nas podejmowania prac zespołowych i wspólnego

debatowania nad rozprawami indywidualnymi. Pod jego przewodnictwem dyskusje były zawsze ogromnie krytyczne, ale konstruktywne: wprowadzał projekty zmian, poprawek, ulepszeń. Nierzadko referent wychodził z całkowicie pozmianianym planem pracy. Z Profesorem nie trzeba było się zgadzać, pozwalał z sobą zaciąć polemizować, przekonany nie upierał się przy swoim zdaniu. Miał znakomite pomysły interpretacyjne, ale nie narzucał swoich opinii. Wymagał jednak pewnej zasadniczości, wyraźnego sformułowania problemu, jasnego określenia zadań badawczych, czytelnej konstrukcji, logicznego porządku wywodu. Miał wyraźną predylekcję do ujęć globalnych i syntetycznych. Jeśli wyczuwał w kimś iskrę samodzielności, pozwalał mu wkraczać w rejony, których sam nie uprawiał, a nawet w te, które go zupełnie nie interesowały. Nie krępował zasięgiem własnych badań ani ich wynikami. Nie wyrobił w nas żadnego nawyku do kurtuazyjnego a obfitego „cytowania dzieł Mistrza”, jak nakazuje dość powszechny obyczaj. Okazywał jednak znacznie większą apodyktyczność wobec tych, do których umiejętności stracił zaufanie.

Jako badacz był rozdarty między dwiema skrajnościami: ogromnie skrupulatny i drobiazgowy erudyta, doceniający wartość szczegółu i mrówczych dociekań był równocześnie autorem śmiałych syntez, brawurowych podsumowań i werdyktów bez apelacji. Jako nauczyciel nie krępował nas swoją erudycją ani wyspecjalizowanymi badaniami. Właściwie nigdy nie zetknęliśmy się z jego wiedzą księgoznawczą, znajomością starych druków, ani też z nieprawdopodobnie rozległym warszatem bajkoznawcy. Przekazywał nie tyle wiedzę, co doświadczenie. Uczył sposobów postępowania badawczego i intelektualnego opanowywania tematu. Przede wszystkim zaś — stawiania pytań podstawowych i elementarnych, zmuszając do zakwestionowania, przemyślenia i wtedy dopiero ewentualnego ponownego wprowadzenia do własnego słownika prawd obiegowych, skonwencjonalizowanych terminów i powszechnie stosowanych narzędzi, czyli tego, co bywa często w humanistyce akceptowane bezrefleksyjnie jako repertuar wyjściowy. Charakterystyczne, że teoretycznie rozważając zadania programu nauki na wszystkich poziomach (uczniów, studentów, nauczycieli i asystentów) wszędzie podkreślał prymat kształcenia sprawności umysłowych nad wzbogacaniem erudycji. W referacie *O reformie studiów polonistycznych w zakresie nauki o literaturze*, wygłoszonym na UW w 1961 r., pisał:

„Wprawdzie jednym z istotnych celów nauczania jest opanowanie (przez uczącego się) realnych wyników wiedzy, ale to, co może mieć urok w znaczeniu także intelektualnym, tkwi nie w wynikach, lecz w samym procesie zdobywania prawdy. (...) Podobnie jak przedtem w szkole, tak i teraz na uniwersytecie akcentowałbym więc w procesie dydaktycznym nie tyle przekazywanie określonej erudycji, co umiejętności poznawania dzieł literackich.

Zawsze konieczny bagaż erudycyjny w ogóle nie powinien urastać do rangi problemu dydaktycznego. Student winien tę wiedzę zdobywać sam z monografią, kompendiów i podręczników, profesor natomiast ograniczyłby się do jej sprawdzenia podczas kolokwium i egzaminów. Uczyć natomiast trzeba czegoś zgoła innego: posługiwania się warsztatem naukowym, umiejętności poznawania zjawisk, stawiania pytań, formułowania uogólnień, samodzielności myślenia oraz swobody przechodzenia z płaszczyzny naukowej na płaszczyznę dydaktyczną. Chodzi o to, by kłaść nacisk przede wszystkim na opanowanie sprawności intelektualnych i wyrabianie dociekliwości poznawczej, zmuszając jednocześnie do osobistego wysiłku w zdobywaniu wyników gotowej już wiedzy po prostu na drodze samokształcenia”.

Budzyk przyznawał wysoką rangę uniwersyteckiej działalności dydaktycznej, widząc w niej również ważny czynnik przyspieszający i sprawdzający naukową dojrzałość młodych pracowników. Był jednak przeciwny podejmowaniu samodzielnych obowiązków dydaktycznych przez świeżo upieczonych asystentów zaraz w pierwszym roku po studiach. Wszystkich swoich uczniów starał się chronić przed ogłupiającym i wyczerpującym wpływem wielogodzinnego dydaktycznego młyna. Udawało mu się to, mimo ostrych formalnych barier, dzięki wciągnięciu do pracy nauczycielskiej na uniwersytecie tych uczniów, swoich i Profesor Mayenowej, którzy mieli etaty w Instytucie Badań Literackich. Przez wiele lat stanowili oni organiczną część zespołu Katedry i całkowicie bezinteresownie wraz z nami uczyli studentów. To naturalne i samorzutnie rozwijające się współpartnerstwo pracowników Uniwersytetu i Akademii w niewiele lat po śmierci Budzyka przerwane zostało w sposób przykry i nienaturalny.

Niepodobna sprawiedliwie zbilansować tego, co składa się na pozostawione uczniom dziedzictwo Budzyka. Nie był dla nas Mistrzem w akademickim tego słowa znaczeniu: robimy coś zupełnie innego niż on, wygłaszamy sądy sprzeczne z jego opiniami, nie orientujemy się dość dokładnie w jego dorobku naukowym, a jednak mamy poczucie, że nas wymyślił i stworzył. Zmarł, nie doczekawszy nawet wszystkich naszych doktoratów. Był bardzo potrzebny, nie tylko nam. Ile to razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat, w złych dla polonistyki momentach mówiono: Gdyby żył Profesor Budzyk...

Aleksandra Okopień-Stawińska